

Bruno Kładyna

Wódz i Szaman



Ilustracja: Bruno Kadyna

Strona autora: brunokadyna.pl

Adres: bruno.kadyna@wp.pl

Lipiec 2017

Mam prawie czterdzieści lat, świetną pracę, spore oszczędności, i serdecznie dość. Przede wszystkim ludzi. A w szczególności kobiet. Jednej konkretnie. Nie chcę się rozwodzić na ten temat. Wystarczy jeden rozwód. Ale Aneta wciąż nie daje mi spokoju, wciąż jej mało. Zalaża mi za skórę tak bardzo, że krzywo zacząłem patrzeć na wszystkie kobiety. Już nie wiem, co robić, wystąpić o sądowy zakaz zbliżania się? Może gdybym był kobietą. Ale facet i taki zakaz? Trochę słabo, mocno niemęsko.

Zostawiłem jej duże mieszkanie, które kupiłem jeszcze przed ślubem i wyniosłem się do kawalerki na drugim końcu miasta. Ci, którzy znają sprawę i powód rozpadu mojego małżeństwa, pukają się w czoło, że tak zrobiłem. A ja chciałem do końca być w porządku, żeby niczego już ode mnie nie chciała. No cóż, pomyliłem się. Ale przynajmniej sam ze sobą czuję się dobrze. Chociaż z kimś.

Wcześniej tego nie zauważyłem, mimo że z moją żoną zołą też mieszkaliśmy w bloku, że w ogóle nie znamy się z tymi, którzy mieszkają obok. Sam nie wiem, do czego ludziom potrzebne skupiska. To upychanie w bloki i osiedla jak rybki do puszek. Mieszkam tu już czwarty miesiąc i nie mam pojęcia, kim jest małżeństwo z dwójką dzieci po prawej. Albo starsze państwo za drzwiami naprzeciwko. A ludziom nade mną i pode mną nawet nie mówię „dzień dobry”. Ci pode mną to para około pięćdziesiątki, chyba małżeństwo. Kochają się często i głośno. Jednak nigdy nie słyhać tej pani, za to zawsze tego pana. Ja chyba nigdy jeszcze nie przeżyłem takiego uniesienia.

Coś się we mnie zmieniło po rozwodzie, bo zaczęła denerwować mnie obecność ludzi, to, że są tuż obok za ścianą, niecały metr ode mnie. Czuję ich obecność i emocje przez ściany. Nie podoba mi się to. Zacząłem dużo spacerować, ale drażnią mnie mijani ludzie, potwornie ich dużo. Nie wiem, co się ze mną dzieje, nigdy taki nie byłem.

Ktoś ze znajomych mojej byłej żony widział mnie chyba podczas jednego ze spacerów, bo dwa miesiące temu mnie znalazła.

Koczuje pod blokiem, dzwoni do drzwi. Jak tylko się pokażę, atakuje i chlusta we mnie ściekiem ze swoich ust, jakby była szambem bez dna. W końcu próbowałem zrozumieć, co chce osiągnąć, nawet dać to, byle się jej pozbyć. W granicach rozsądku rzecz jasna. Słuchałem cierpliwie, starając się przyjmować te fekalia bez emocji jak oczyszczalnia ścieków. W pewnym momencie przerwała i odeszła. Stałem dalej, zdziwiony jak chyba jeszcze nigdy. Wydaje mi się, że się zmęczyła, albo zaspokoila. Na chwilę.

Wróciła na drugi dzień i znowu zaczęła. Widzę ją kilka razy w tygodniu. Czasami daje radę mnie dopaść. Zrozumiałem, że niczego nie chce, tylko się pastwić. Żal mi jej, że tak marnuje swoje życie, że jest chora. I mam już dość bycia workiem treningowym.

W końcu się stąd wynoszę. I nikt o tym nie wie, tylko rodzice.

Pracuję w domu na komputerze. I któregoś wieczora, słuchając stękania faceta z dołu, wpadłem na pomysł, że przecież mogę mieszkać wszędzie. Znalazłem możliwie najgłębszą wieś w północnej Polsce, całkiem przypadkiem. Nic tam nie ma, żadnej trasy w pobliżu. Wygląda jak odcięta od świata. Chciałem uciec jeszcze dalej, najlepiej w Bieszczady, ale mam tutaj rodziców i nie chcę tracić całego dnia na dojazd do nich. W końcu będę musiał się nimi zająć, to mój obowiązek. Na razie nie widujemy się często, nie jesteśmy specjalnie zżyci. Moi rodzice już tacy są, zawsze byli zimni i wolą być sami. A mnie zawsze brakowało dobrych uczuć. Mama nigdy mnie nie przytulała, nie mówiła niczego miłego, o ojcu nie wspomnę. Ale teraz już jestem za stary, żeby się tym przejmować i rozpamiętywać. Ja starałem się być miły i dobry dla żony i widać, ile to dało.

No więc kupiłem dwa hektary taniej jak barszcz ziemi w zapadłej dziurze, która nazywa się Lipcewo, załatwiłem formalności, wynająłem firmę budowlaną, wykończeniową i jazda. Postawili dom z gotowych elementów, niecałe sto metrów kwadratowych. W zupełności wystarczy.

I jutro się wyprowadzam.

Dom stoi na wzgórzu. Drzwi wejściowe i weranda wychodzą na stronę wschodnią. Po południu przed domem mam cień, a w środku słońce. Z werandy roztacza się widok na zachodni stok, teraz zielony od dojrzewającego zboża, ten widok przyjemnie uspokaja. Droga asfaltowa tutaj nie dochodzi, kończy się koło domu sołtysa, to mój najbliższy sąsiad. Widziałem tabliczkę na ścianie ganku z przekreślonym słowem 'sołtys', a nad nią czarną farbą ktoś napisał 'wódz'. Od sołtysa do mnie jest pół kilometra piaskowej drogi, rosną przy niej wielkie lipy, a od piaskowej jeszcze pięćdziesiąt dojazdowej do mnie. Nie potrzebne mi ogrodzenie, ziemia jest moim ogrodzeniem. Posadzę chyba jakieś drzewa, to już w ogóle będę odcięty od świata.

Nie mam pojęcia, ilu tu jest mieszkańców i nie obchodzi mnie to, ale raczej niewielu. Jest też sklep, ale jeszcze w nim nie byłem. Wolę robić większe zakupy na dłużej. Spodziewam się, że tutejsi będą się przyglądać na początku i plotkować o mnie, normalna sprawa, ale przeżyję, w końcu się oswoją i nie będą zwracać uwagi. Może powstaną jakieś dziwne historie ulepione z wyobrażeń o mnie, ale mam to gdzieś. Do mnie przecież nie będą docierały.

Siedzę na werandzie i piję kawę, zrobiłem sobie przerwę w pracy. Nie muszę się śpieszyć z projektem, deadline daleko przede mną, a już prawie kończę. Lubię zrobić szybciej i potem mieć luz. Słucham teraz ptaków i szumu zboża. Super, o to chodziło, cisza i spokój, nikogo nie ma w promieniu pół kilometra. A prawdopodobieństwo, że znajdzie mnie tutaj ta wariatka jest tak rozkosznie znikome, że mam ochotę zapać jak kogut. W sumie mogę, kto mnie usłyszy.

– Kuuu-ku-ryy-kuuuuu!!! Hahahaha!

Jak wspaniale! Nie pamiętam, kiedy ostatni raz krzyknąłem na całe gardło. Chyba jako dzieciak. Świetne uczucie. Czuję, jak się rozluźniam, napięcie odpuszcza, z każdym podmuchem wiatru

i głośniejszym szumem zboża. Kojąca muzyka.

No, pora do roboty. Chcę wstać, ale kątem oka dostrzegam ruch.

Co jest?

Ze wsi idą jacyś ludzie, zeszli już z asfaltu na piaskową drogę.

Idą do mnie?

No chyba do mnie. Dalej droga prowadzi tylko na pola. Wyteżam wzrok. Nie wyglądają, jakby mieli iść na pole. Widzę kobietę i dwóch facetów. Jeden niesie koszyk wiklinowy. Z takim kiedyś moja mama chodziła na rynek po zakupy.

Czego oni chcą?

Może chcą mnie powitać chlebem i solą, może mają tu taki zwyczaj. Ale istnieją jeszcze takie zwyczaje? Nawet nie wiem, czy w ogóle istniały, tak jakoś mi się skojarzyło. Już mnie widzą, kobieta macha do mnie. Już się nawet nie schowam i nie udam, że mnie nie ma, tak jak robiłem zawsze w Gdyni. Może jednak przydadzą się te drzewa wokół domu.

Mija spora chwila, to w końcu kawał drogi. Czekam z kubkiem w ręce, w którym są już tylko fusy.

– Dzień dobry! – woła kobieta z drogi dojazdowej.

– Dzień dobry! – odpowiadam.

Wstaję i uśmiecham się. Strasznie nie mam ochoty na towarzystwo. Mam nadzieję, że to nie będzie długo trwało.

Kobieta jest niska, obfitych kształtów, faceci brzuchaci. Ten, który trzyma panią pod rękę, a w drugiej koszyk, ma czarne włosy i wąsa jak Zagłoba, a drugi, z większym brzuchem, jest zupełnie łysy, głowę ma okrągłą jak piłka, trzyma ręce w kieszeniach. Cała trójka w średnim wieku, wyglądają na wesołych.

– Hołk! – czarny facet unosi dłoń.

– Hołk! – łysy tak samo.

Co oni, Indianie?

Zbili mnie z tropu.

– Cicho, gamonie – kobieta gani z uśmiechem. – Witamy pana

w naszej wiosce. Jestem Izabela Ryškowska, to mój mąż Stefan Ryškowski, nasz...

– Wódz! – wtrąca Stefan.

– Muktada Sadar! – dorzuca łysy facet.

– ...sołtys – poprawia pani Izabela. – A to nasz miejscowy...

– Szaman! – wtrąca łysy facet.

– Machawik! – odgryza się wódz. – Obesraniec – dodaje ciszej.

– ...miejscowy działacz społeczny, pan Edward Kołodziej – mówi kobieta. – Ciekawi byliśmy, kto taki się do nas sprowadził.

Myślę o tabliczce na ganku domu sołtysa. Patrzą na mnie i czekają.

– A tak, Szymon Górski – przedstawiam się. – Architekt, grafik i samotny wędrowiec.

– Dawaj pan, grabę trzeba przybić – mówi sołtys i podchodzi.

Przybijamy. Mam wrażenie, jakbym dłoń wsadził w imadło. Podchodzi szaman i z moją biedną, nieskażoną fizyczną pracą dłonią robi to samo.

– Bardzo mi miło – mówię prawie przez łyzy.

– Ułęłęłę, ajajajajaj! – wybucha szaman i zaczyna podskakiwać.

Też podskoczyłem, tak mnie zaskoczył. Brzmi to jak indiański śpiew.

To wariaci – myślę i zaczynam się śmiać.

– Edek, zamknijże się – gani kobieta.

– Trzeba odczynić chałupę Fiorella – mówi szaman.

Pierwszy raz widzę, żeby ktoś w taki sposób rozluźnił atmosferę. Coś pięknego. Już kompletnie nic nie jest we mnie napięte.

– Teraz będzie ci się mieszkało dobrze, riebionek – dodaje pan Edek.

Riebionek?

– To się okaże – mówi wódz. – On często myli kroki. Raz tańczył na deszcz, a przyszła susza. Innym razem, żeby Krużykowej przeszło lumbago, a dostała półpaśca.

- Każdemu się zdarza pomylić – mówi szaman.
- Jak coś będzie nie tak, przyjdź zaraz. Ale wtedy już lepiej, żeby nie tańczył, bo jeszcze pogorszy sprawę.
- Niech pan się nie przejmuje tymi starymi zbukami, ze wszystkiego sobie robią żarty. Proszę, to dla pana, na przywitanie, nasze miejscowe specjały.
- Sołtys stawia koszyk na werandzie.
- Dziękuję państwu, nie trzeba było, bardzo dziękuję.
- Tylko ostrożnie z wodą ognistą, żebyś nie oślepl, riebionek, dawkuj ostrożnie.
- Racja, zobacz jaki po niej Machawik durnowaty – mówi wódz.
- Ty, Muktada Sadar, durnowaty ty! - szaman macha na niego ręką, zaczyna zawodzić, podskakiwać i kręcić się w kółko.
- Ajajajajaj, ojojjojjoj! - Brzuch mu podskakuje jak piłka.
- Spokój! Durne chłopcy – sołtysowa zaprowadza porządek.
- No to na zdrowie panu, przy okazji proszę oddać koszyk.
- Tak, oczywiście. Naprawdę, nie trzeba było – powtarzam.
- Jakby pan czegoś potrzebował, pomocy na przykład, to proszę dawać znać. My tu dbamy o siebie nawzajem, jak kochająca rodzina – mówi pani Iza.
- Uśmiecham się rzadko. Nie jestem do czegoś takiego przyzwyczajony i dziwnie to zabrzmiało.
- Tylko nie zabieraj się za nasze koszki, riebionek. Nie wiemy jeszcze, coś ty za jeden. Możesz na razie stare raszple adorować co najwyżej – mówi szaman.
- Jasne – odpowiadam, choć nie mam pojęcia, co to ‘koszki’, pewnie młode kobiety.
- Dziś wieczorem w chacie wodza odbędzie się twoja inicjacja. Będziesz miał prawa do koszki, chyba, że okażesz się bęcwał i łakcuber, wtedy ani babsztyli, ani nawet starych raszpli nie wolno będzie ci bałamucić – dodaje szaman.
- Nie chcę żadnej inicjacji ani koszki.
- Coś się tak zaciął? Nie wykręcaj się, tylko przyjdź. Dowiesz się,

w co żeś wdepnął – śmieje się wódz.

Chcę powiedzieć, że mam dużo pracy, ale pani Iza mnie ubiega.

– Proszę się nie bać i przyjsć, nie będzie pan żałował.

– Postaram się.

Towarzystwo milknie. Szaman spogląda na wodza z ironią.

– Postara się – mówi. – Ty musisz być, riebionek, bez ciebie nie będzie imprezy, rozumiesz to?

Chyba nie mam wyjścia.

– Ok, no to będę na pewno. Coś mam zabrać, jakoś się przygotować?

– Zabierz tylko dupę w troki – mówi wódz.

Śmieją się ze mnie, machają na pożegnanie i odchodzą. Niezła heca, nie ma co.

Nie mogłem się już skupić na robocie po tej wizycie. Coś tu nie gra. Dziwne, że przyjęli mnie tak miło. Pofatygowali się spory kawałek. Niemożliwe, że tak po prostu z życzliwości przyszli mnie przywitać.

‘My tu dbamy o siebie jak kochająca rodzina.’ - ciągle słyszę słowa sołtysowej.

Dziwne to było. Mimo że było zabawnie, to niezłe świry.

Jak dbają? Tak po prostu, o obcych? O wszystkich w wiosce? Wszyscy są tacy?

Nie, coś tu nie gra. Ludzie się tak nie zachowują. W mieście to nie do pomyślenia. Nie śmiałbym pożyczyć od sąsiada z naprzeciwka szklanki cukru, a co dopiero zdobyć się na taki wysiłek, żeby przywitać nowo wprowadzonego i jeszcze tyle ofiarować.

Nie wiem, o co im chodzi, ale postarali się. Z koszyka wyciągnąłem swojskie kiełbasy i wędliny, prawdziwy chleb, smalec ze skwarkami, mleko, jajka i zakapslowaną flaszkę z wodą ognistą,

czyli bimbrem. Spróbowałem chleba i wędlin. W życiu nie jadłem takich pyszności. Jestem pewien, że jeśli nie wypiję mleka, to się zsiądzie. Wieki nie piłem zsiadłego mleka. Bimbru na razie nie ruszam, boję się oślepnąć, jak powiedział szaman.

Dzwoniłem do kolegi, pochwalić się i zapytać, czy wie coś o takich wiejskich powitaniach nowych osadników, ale pierwsze słyszy. W sumie skąd ma wiedzieć, jest takim samym mieszcuchem jak ja. Powiedział, żebym lepiej uważał, bo to może być podstęp, mogą czegoś ode mnie chcieć. Nie ma nic za darmo. Może kiedyś się tak robiło, że witali ludzi i obdarowywali, może przed wojną, ale dzisiaj?

A może nie tylko wyniosłem się na wieś, ale jeszcze przeniosłem w czasie? To ci heca.

Nabrałem ochoty, żeby zwiedzić wieś, rozejrzeć się. Oddam przy okazji koszyk. Jestem już pod domem wodza, pełen wątpliwości i obaw. Dwa psy zaczęły ujadać jeszcze zanim nacisnąłem dzwonek na płocie. Czekam. Nic nie wydaje się dziwne. Zwykle, wiejskie obejście. Fajna jest duża wiata na podwórzu, a pod jej dachem gruby dębowy stół i ławy. Wyobrażam sobie, jaką ekstra można by tu zrobić biesiadę. Obok stoi bujana ławka z bali, a przed nią palenisko i trójnóg z rusztem.

– Kogo tam?!

Nikogo nie widzę i nie rozpoznaję głosu, jest damski i młody.

– Dzień dobry, Szymon Górski, sąsiad! – odpowiadam. – Do pani Izabeli albo pana Stefana.

– Prosi o audiencję u wodza? – pyta głos.

– Może być u żony wodza. Koszyk chcę oddać.

– A co w koszyku?

Kurczę, oczekiwali czegoś? Będę sobie robił żarty jak oni.

– Czyste, świeżutkie powietrze – odpowiadam.

– A ile masz pan tego powietrza?

– Pełen koszyk, aż się wylewa.

- To wchodzi pan.
- A psy mnie nie zeżrą?
- A lubisz pan psy i inne zwierzaki?
- Lubię.
- To wchodzi pan, nie będziesz im smakował.

Wchodzę na podwórko. Podbiegają do mnie dwa skundlone owczarki na krótkich łapach i obwąchują. Staram się nie okazać strachu, wydają się przyjazne.

Groźne tylko zza płotu.

- Benek, Reksio! – woła głos.

Zauważam pod wiatą na końcu ławki szczupłą kobietę, bardzo ładną. Zasłaniał ją wielki krzew, dlatego jej nie widziałem.

Koszka?

- Postaw pan ten koszyk z powietrzem tutaj – uśmiecha się.
- Stawiam na ławce i nie wiem, co dalej.
- Chciałem podziękować za specjały. Nie ma pani Izy?
 - Nie ma rodziców, przekażę, że pan był. Chyba, że pan poczeka, za chwilę powinni być. Napije się pan kawy?
 - Nie chcę robić kłopotu.
 - Żaden kłopot, miałam właśnie wstawić wodę. Niech pan siada, co pan tak stoi?

Dziewczyna przygląda mi się i wyraźnie drze ze mnie łacha. Siadam bez słowa. Dopiero wtedy wstaje i wchodzi do domu. Nie powiedziała jak ma na imię.

Jest wysoka i szczupła oprócz biustu, ma blond włosy upięte do góry, szare oczy i śniadą cerę. Nie mam ochoty na towarzystwo, szczególnie kobiet, nawet ładnych, ale ona mnie zaciekała. No i nie powinienem nastawiać się przeciw kobietom. Przez jedną wariatkę nie mogę tak myśleć o wszystkich. Szybka kawa w damskim towarzystwie dobrze mi robi.

- Jaką pan pije kawę? – słyszę za sobą głos.
- Czarną i dużo cukru.

Czekam dalej. Psy położyły się obok ławy. Promienie słońca poszarpane przez krzew zdobią blat. Lekki powiew chłodzi kark. Słyszę ten wiaterek, jak porusza liśćmi. Słyszę nawet ruch ptasich skrzydeł i przelatujące owady. To podoba mi się tutaj najbardziej, cisza. Nie ma samochodów, kolejki podmiejskiej, nic nie zagłusza natury.

– Proszę, kawa dla pana.

Kobieta stawia przede mną kubek, a sama siada na swoim miejscu na końcu, po drugiej stronie stołu i przygląda się.

– Ma pani jakieś imię?

– Mam.

Znowu się ze mnie śmieje.

– Ładnie tak robić sobie jaja? - pytam.

– Na pewno śmiesznie. Nie ma w tym niczego nieładnego przecież. Jestem Emma.

– Bardzo mi miło.

– Podoba się panu u nas?

– Jak na razie podoba. Dzisiejsza wizyta pani rodziców i szamana była świetna.

– Dostałoby się panu, gdyby zobaczył, że pan ze mną tu siedzi.

– Szaman?

– Tak.

– Nie mam prawa do koszki?

– Hahaha, dokładnie.

– Mam wpaść do was dzisiaj wieczorem na inicjację. Wtedy będę miał już prawo?

– Tylko po pomyślnej inicjacji.

– To coś może pójść nie tak?

– Wszystko zależy od pana. Znalazł pan tu jakąś koszkę i dlatego tu zamieszkał?

Zawieszam się. Między nami, w powietrzu nad ławą coś się pojawia, jakieś napięcie. To pewnie przez tę rozmowę. Wcale tego

nie chcę. Dość mam bab, po dziurki w nosie.

– Co pan tak zamilkł?

– Pani jest pierwszą koszką, jaką tu spotkałem. Nie licząc pani mamy.

– Meżatki to już nie koszki, szczególnie w tym wieku, to już stare babsztyle według szamana.

– Pani jest koszką?

– Do niedawna byłam bździągwą, teraz jestem koszką. Po trzydziestce będę pletwą, cokolwiek to znaczy, po czterdziestce babsztylem, a po pięćdziesiątce starą raszplą.

– Czemu tak?

– Niezbadane są myśli i terminy szamana.

– Powie mi pani, czego mam się spodziewać wieczorem?

– Jedzenia, picia i żartów z pana. Dość już tego panowania, proszę mi mówić po imieniu.

– Mnie również, Szymon – przypominam.

– No to co cię tu sprowadza?

Nie odpowiadam. Pod dom podjeżdża samochód.

– Rodzice – mówi Emma.

Nie wiem dlaczego, ale czuję się jak dzieciak, jakbym spotykał się z dziewczyną i wystraszył się jej starych, którzy właśnie wrócili do domu.

Rozbawia mnie to konkretnie.

– Czego się tak cieszysz? – pyta dziewczyna.

– Jak to czego? Znowu spotkam wodza i szamana.

Ze starego Opla wysiada wódz, szaman i żona wodza.

– Musi być z naciskiem na swojsko, stary Kniaziu – mówi szaman do wodza.

Zauważa mnie.

– Szto riebonek?!

Emma rechocze, wtedy orientują się, że z nią siedzę. Wchodzą na podwórko.

– To hucuł – mówi o mnie szaman. – Za córcię mi się zabierasz? Zbaraniałem. To córka sołtysa, czy szamana w końcu? Emma widzi moją dezorientację.

– Pan Edziu tak o mnie mówi, że jestem jego córcia.

– Bo jesteś! – Łapie się za brzuch. – W tym brzuszku cię nosiłem, tymi cycuszkami karmiłem, z tego leciało mleczko, a z tego pepsi – prezentuje miseczkę B.

– A kogo pan teraz nosi w tym okrągłym brzuszku? – pyta Emma.

– Braciszka ci urodzę.

– Stary, durny machawik – śmieje się sołtysowa. – Wnosić mi te zakupy – popędza chłopów.

– Pomóc państwu? – pytam.

– Nie trzeba, tylko tyle mamy.

– No hucuł, słuszne pytanie zadałeś. Możesz za to jeszcze pięć minut z córcią zamienić. I pamiętaj o wieczorze. Natrzyj dupę cebulą.

Śmieją się i wchodzą do domu.

Patrzę na ‘córcię’ i powstrzymuję się od śmiechu.

– Co się śmiejesz, hucuł? – pyta.

– Wyobraziłem sobie, jak ssiesz te włochate cycuszki.

– Głupol. Widzisz, jak mnie chroni mój matko-ojciec?

– Wydaje się sympatyczny, twoi rodzice też.

– Pan Edzio ma bardzo dobre serce. Razem z moimi rodzicami zrobili wiele dobrego dla tej wsi. Zmienili wszystkich i wciąż dbają, żeby było lepiej.

– Jak zmienili?

Dziwnie to zabrzmiało.

– Trochę to trwało. Mój ojciec od lat jest sołtysem i długo próbował zmienić ludzi, ale samemu było ciężko. Kiedy pan Edek się tu wybudował, od razu się zaprzyjaźnili. Obaj mają takie same serca i natychmiast się rozpoznali.

Jak geje? – mam ochotę zapytać, ale chyba wyjdę na buraka.

– Co to znaczy, że chciał zmienić ludzi?

– Podejście ludzi do siebie nawzajem. Już trochę lat trwa przyjaźń taty i pana Edka. Pamiętam lato, ciepło jak teraz, siedzieli tutaj i pili wódkę, było wesoło, ale i konstruktywnie, bo chyba wtedy podjęli decyzję, że zajmą się zmienianiem tego małego kawałka świata. I naprawdę się za to wzięli, pełną parą.

– Ciekawa sprawa. – Biorę łyeczka kawy, dobrze posłodziła. – Jak to robili?

– Dawali przykład, poświęcali czas, rozmawiali. Kilka razy chcieli się poddać. Ludzie nie lubią się zmieniać, niektórzy byli złośliwi, niektórzy kradli, a praktycznie wszyscy plotkowali i obrabiali sobie dupska, jak to na wsiach, jak wszędzie.

– I co, trzaskali niepokornych po pyskach?

– Absolutnie, to byłoby zaprzeczenie tego, co chcą osiągnąć. Opornym na wiedzę poświęcali najwięcej czasu i miłości. Mieli jeden cel, żeby wszyscy zrozumieli, jakie to przyniesie korzyści dla nich i ich dzieci, każdemu dookoła. Wiedzieli, że potrzeba na to czasu. Motywowali, żeby ludzie wciąż próbowali, nie zniechęcali się niepowodzeniami. Oj, pamiętam, że tylko tym żyli przez jakiś czas.

– I co, nie plotkują o sobie?

Jakoś ciężko mi w to uwierzyć.

– Wódz i szaman wpoili wszystkim prostą prawdę, że każdy z nas jest tyle samo wart, że wszyscy tak samo nadzy się rodzimy i idziemy w piach, i że każdy jeden i jedna potrzebuje tego samego od drugiego, miłości.

To jakaś abstrakcja, zupełnie nierealna. Może to schizofreniczka, chciałyby po prostu, żeby tak było?

– I udało się, dały efekt te starania?

Strata czasu.

– Nie mieszka tu nikt zły, nikt się na nikogo nie boczy, problemy są rozwiązywane natychmiast, w duchu łagodności i życzliwości. Ludzie wolą nawet coś stracić, niż nadwyreżyć pokojowe stosunki. Wręcz szukają korzyści drugich niż własnej. Rozsmakowali się

w satysfakcji, radości i szczęściu, jakie to daje. Dzięki temu nikomu niczego nie brakuje, nikt nie czuje się samotny i biedny. Mamy tutaj raj na ziemi. Nikt nie jest nieszczęśliwy.

– To jest nieprawdopodobne, wręcz niemożliwe.

– Tak się tylko wydaje. Człowiek jest tak stworzony, że najwięcej przyjemności sprawia mu dbanie o innych, dawanie siebie, swojej uwagi, praktycznej pomocy i uczuć. Nawet Einstein powiedział, że człowiek jest tutaj dla innych ludzi. Wódz i szaman rozumieją to bardzo dobrze, znają tego wartość i chcieli, żeby inni rozumieli. Ciężko w to uwierzyć, skoro świat wygląda inaczej. Każdy myśli tylko o sobie, uważa, że jest najważniejszy i chce tylko brać. To jest sens życia większości ludzi. Nie rozumieją, wręcz nie mają zielonego pojęcia o tym, że to wbrew naturze. Sami siebie niszczą i nie wiedzą, dlaczego cierpią, obwiniają innych. Dlatego tak wygląda świat. Jest wynaturzony. Dopóki ludzie nie zrozumieją, że miłość jest najważniejsza, dopóty będzie się pogarszać sytuacja.

– Jak o tym pomyśleć, wciąż się spotyka takie podejście.

Ma sens to, co ona mówi. I w szoku jestem, że jest taka inteligentna. Zaskoczyła mnie tym Einsteinem. Chyba miałem złe wyobrażenie o poziomie intelektu ludzi ze wsi.

Mam wrażenie, że pęka we mnie jakaś skorupa, która ogranicza pojmowanie prawdziwej natury i odłupuje się jej fragment. Emma milknie, patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby szukała tego miejsca, gdzie odpadła powłoka.

Czuję ogromną chęć zaspokojenia jej ciekawości.

– Jak miałyby się coś zmienić, skoro samolubne podejście propaguje cały świat. Weźmy reklamy i slogany ‘Jesteś tego warta’, ‘Należy ci się’, ‘Musisz to mieć’. To, o czym mówisz, to nieosiągalna utopia. To, że tutaj się udało, to jakiś cud.

Jeśli się udało.

– Udało się, bo to bardzo mała wioska i daleko od innych. Ale i tak mojemu ojcu i panu Edziowi należy się pokojowa nagroda Nobla. No i mojej mamie, ona też zrobiła kupę dobrej roboty.

– Tak myślałem, że to był jej pomysł, żeby mnie przywitać.

– Pozwolisz, że zapytam jeszcze raz, dlaczego tu zamieszkałeś?

Znowu nie odpowiadam. Z domu wychodzi szaman.

– Szto riebionek?! Ty jeszcze tutaj, córcię mi bałamucisz? To hucuł jeden!

– Gdzież bym śmiał. Już uciekam. – Wstaję i kłaniam się Emmie.

– Dziękuję pięknie za kawę. – Odwracam się do pana Edka. – Panie szamanie, uszanowanie.

– Sranie w banie. Nie wolno ci się brać za koszki, pamiętaj. Do wieczora, hołk.

– Hołk.

Puszczam oczko uśmiechniętej Emmie i idę sobie. Czuję na sobie jej wzrok jeszcze długo, albo tylko mi się wydaje. Niesamowita dziewczyna. I bardzo ładna.

Ty, co ty?

Nie wiem, co się ze mną dzieje, przecież mam dość kobiet, chcę być sam do końca życia. A tu po jednej rozmowie rozmarzyłem się, jak jakiś szczył.

Staram się nie myśleć o dziewczynie. Idę zwiedzić wieś. Mijam dom z czerwonej cegły, siedzi przed nim na małym taborecie dziadek z niesamowicie pomarszczoną twarzą.

– Dzień dobry – kłaniam się.

Dziadek nie odpowiada, za to zdejmuję czapkę, macha nią raz, jakby kogoś przywoływał, i wkłada na głowę. Wygląda, jakby już jakiś czas temu przekroczył setkę.

Idę dalej główną ulicą, od niej jest tylko kilka krótkich odnóg, przy których stoją góra dwa domy, a potem są już tylko pola. Wydaje mi się, że główna ulica nie ma nawet kilometra długości. Nie wiem, ile stoi tu domów, ale jest ich maksymalnie kilkadziesiąt, są zadbane, większość bardzo stara, ale nie wyglądają na rudery. Ciekaw jestem, jaką każdy z nich skrywa historię. Przecież sto lat temu mieszkali tu zupełnie inni ludzie. Oprócz tego pomarszczonego dziadka oczywiście.

Dochodzę do sklepu. Wygląda normalnie, jak na wiejskie

standardy. Kupuję loda na patyku, bo jest gorąco. Ekspedientka po sześćdziesiątce jest bardzo miła, zagaduje mnie, wypytuje, ale nie nachalnie. Naprawdę fajna odmiana, zupełnie inny świat od tego, który znam.

Wychodzę ze sklepu i wpada na mnie jakiś brzdąc, najwyżej dwuletni. Jest boso, ma na sobie tylko koszulkę, siusiak podryguje śmiesznie z każdym kroczkiem. Chłopak patrzy do góry, wodzi wzrokiem za moim lodem.

– Nie zaczepiaj pana, Nikoś – mówi mama.

– Dzień dobry, mogę mu dać? – pytam.

– Nie chcemy pana ograbiać.

– To dla mnie przyjemność.

Odpakowuję loda. Mały tupie w miejscu i rozdziawia japkę z radości.

– Proszę – podaję.

– Co się mówi Nikoś?

– Ijjjj je – mówi.

– To było ‘dziękuję’ – tłumaczy mama.

– Świetnie zrozumiałem. Szymon Górski, bardzo mi miło.

– Marta Karbowska – podaje dłoń.

Całować, uścisnąć?

Ściskam.

– Miło zobaczyć młodą osobę, już myślałem, że tu mieszkają sami starsi ludzie – mówię.

– Jest trochę młodych, ale to starsi wiodą prym. Porządek musi być.

– Rozumiem.

– Przepraszam za pytanie, mieszka pan sam?

Co ona, szuka ojca dla dziecka?

– Sam.

– Musi czuć się pan samotnie, szczególnie teraz, kiedy adaptuje się pan do nowego otoczenia.

– Daję radę, lubię być sam.

Na bank szuka faceta.

– Może zgodzi się pan wpaść do nas na kolację? Będzie nam miło z mężem pana powitać.

A jednak nie szuka.

Oni tu naprawdę są inni.

– Z przyjemnością, ale wieczorem mam się stawić w domu wodza, znaczy sołtysa.

– Ach, rozumiem. W takim razie następnym razem. Porozmawiam z mężem i zaprosimy pana na pewno.

– Będzie mi bardzo miło, dziękuję.

Otwieram pani drzwi do sklepu. Też wchodzę, kupić drugiego loda.

Cieszę się do siebie jak dzieciak. Co za miejsce. Wiem, że rozmowa z kilkoma osobami wiosny nie czyni, ale i tak jest super. Mijam dom wodza, macham Emmie. Siedzi na bujanej ławce i czyta. Znowu czuję jej wzrok na sobie, jeszcze na piaskowej drodze, nawet kiedy mijam kilka lip.

Robię obiad i myślę o niej. Jest kilkanaście lat młodsza ode mnie i taka rozumna. Nie to, co moja była.

Weź skończ, zajmij się sobą.

Może się pomyliłem, może naprawdę nie chcą niczego w zamian. Może jest tak, jak Emma mówi? To jakiś inny świat. I przygotowywała mnie, sprawdzała? Jeśli tak, to oni bardziej się boją mnie, niż ja ich, że zaburzę ich porządek, enklawę. Wieczorem poddadzą mnie próbie? Zdenerwują i zobaczą, jak reaguję? Będą mnie umoralniać?

Chyba nie muszą. Bardzo mi się podoba taki porządek. Jeśli oczywiście to prawda, bo wciąż ciężko uwierzyć. Co prawda nie wyobrażam sobie, jak miałbym zabiegać o czyjaś korzyść, a nie własną, ale to normalne, nie potrafię inaczej przecież.

Ale nie mam zamiaru się zamykać na nowe. No bo dlaczego? Pierwszy krok zrobiłem, zamieszkałem tutaj.

Mam ochotę zadzwonić do kolegi i powiedzieć, że raczej niczego ode mnie nie chcą. Nie wydaje mi się, żeby dziewczyna ze wsi potrafiła tak kłamać, tak zagrać 'dobre serce'. To mało prawdopodobne. Ale nie dzwonię. Wiem, jak wyglądałaby ta rozmowa. Koleżka nie słyszał tego, co ja i poddawałby w wątpliwość wszystko, co mówię, a ja musiał bym bronić i zapewniać. A po co.

– No, riebionek, zachodź!

Uśmiecham się i wchodzę. Już na ganku pachnie jedzeniem, chyba gulaszem. Zdejmuję buty i wchodzę przez kuchnię do jadalni. Nie spodziewam się tego, co dalej.

– Witamy nowego sąsiada!!! – gromki okrzyk kilku osób.

Serce łomocze z emocji, wystraszyłem się.

– Ale! Jaa cię! Nie spodziewałem się. Dobry wieczór.

– Proszę usiąść – mówi sołtysowa.

Siadam na wskazanym miejscu i siadają pozostali. Czuję, jak twarz naciąga czerwienią. Obok mnie siedzi wódz i szaman, naprzeciw Emma z pięknym, powściągliwym uśmiechem, ubrana inaczej, niż wcześniej, w zieloną sukienkę, włosy rozpuszczone, długie do ramion. Stara się na mnie nie patrzeć, jakbym jej nie interesował. Mnie ciężko na nią nie patrzeć, teraz wydaje się jeszcze ładniejsza.

Jest jeszcze kilka osób, trzej mężczyźni i kobiety, wszyscy starsi ode mnie. Tylko jeden z nich jest szczupły, reszta przy kości.

Na stole stoi mnóstwo jedzenia: wędliny, chleb, ogórki, marynowana papryka i grzybki, nie brakuje wódki. Chyba że w butelkach po wódce jest bimber, pewnie zaraz się przekonam.

– Zaraz będzie jedzenie. Misiu, pomożesz? – mówi pani Iza

do męża.

Z miejsca podrywa się też Emma. Odprowadzam ją wzrokiem.

– Riebionek, bo ci krosty na oczach wyskoczą. – Dostaję kuksańca od szamana. – Poznaj starszyznę plemienia, Buczyńskich, Karbowskich i Oleksińskich, straszne świntuchy, ale w porządku – mówi szaman.

– Ty, ja ci dam zaraz świntuchów, zboku jeden – śmieje się pani Oleksińska.

– Bardzo mi miło, Szymon Górski – kłaniam się. – Poznałem dzisiaj panią Martę i Nikosia.

– To nasz wnuk i synowa – mówi pani Karbowska.

– Gratuluję wnuka, super chłopak.

– Uwielbia latać z gołą dupą i zostawiać bobki po drodze – mówi dziadek Nikosia.

– Jeszcze mu wolno, niech zostawia – wtrąca pani Iza.

– Dobra riebionek, do rzeczy – zaczyna szaman. – Starszyzna chciała cię poznać, zobaczyć i wybadać, coś ty za jeden, bo mają po koszce w domu i boją się takich ciemnych typów nakrapianych. Tylko Oleksińscy mają jeszcze małą bździągwe. Ale tobie już widzę gały za moją córcią chodzą.

Emma właśnie donosi na stół chleba do gulaszu. Od tej dziewczyny bije jakieś jasne światło, ma się ochotę do niego przytulić i ogrzać. Rumieni się, gdy słyszy słowa pana Edzia i zaczyna się śmiać.

Przez chwilę nie wiem co się wokół mnie dzieje. Czuję się, jak zadurzony małolat. Zapomniałem zupełnie o swojej byłej żonie i niechęci do kobiet.

Towarzystwo patrzy na mnie i się śmieje.

– Ty, hucuł durnowaty – mówi szaman.

– Co? A tak, bardzo się cieszę, że tu jestem.

Śmieją się jeszcze głośniej, a ja robię się bardziej czerwony.

– No to zaczynamy inicjację – mówi wódz.

Chwyta za butelkę i polewa każdemu.

– Wypijemy po jednym przed jedzeniem – pan Stefan staje z kieliszkiem, jak do toastu. – My tu niczego nie ukrywamy Szymek, jesteśmy szczerzy i szczerości oczekujemy. Nie zakładamy, że będziesz chciał ukrywać, kim naprawdę jesteś, nie ma to znaczenia, bo woda ognista sprawi, że nie będziesz mógł się powstrzymać. Pokażesz nam swoje serce, jakie jest naprawdę, a my pokażemy swoje. Siup, w te głupie ryje – unosi kieliszek.

Nic nie mówię, twarz mam jak prawdziwy czerwonoskóry. Wychylamy kieliszki. Bimber jest łagodny, jakby niewiele było w nim alkoholu. Smakuje świetnie.

Mam wrażenie, że znalazłem się przypadkiem w świecie, w którego istnienie bym nie uwierzył, gdyby mi ktoś opowiadał. Co najwyżej przeczytał w książce albo zobaczył w filmie.

Jedzenie było przepyszne. Najpierw zjedliśmy rosół, a potem gulasz. W życiu czegoś takiego nie jadłem. Czuję się jak dzieciak na wakacjach, który był pierwszy raz w takim miejscu. Wszystko było nowe. Atmosfera tak radosna, że miałem ochotę śpiewać. Chyba raz, czy dwa nawet mi się wymknęło i zapiąłem. Wszystko wina wodza i szamana, to najwięksi jajcarze i podpuszczacze, jakich w życiu spotkałem, uzupełniali się, jak nóż i widelec.

Nie miałem zamiaru opowiadać o moim życiu, rodzicach i nieudanym małżeństwie, ale nie mogłem się powstrzymać. W bimbrze było dużo więcej alkoholu, niż myślałem. No i ci ludzie. Chciałem mówić o sobie, tak jak oni mówili. Niczego nie ukrywali, byli szczerzy, a ja zapragnąłem być taki sam. Chyba w środku zawsze do tego tęskniłem, dlatego tak łatwo się wpasowałem.

A Emma. Wcale nie było tak łatwo ją zdobyć. Ale kiedy zobaczyłem jej serce, zakochałem się bez reszty. Musiałem zacząć o nie dbać jak o najcenniejszy skarb, jeśli to możliwe sprawić, by było jeszcze dźwięczniej i wyraźniej. W końcu zostanie moją żoną,

jestem pewien. Jest jak stworzona przez autora powieści. Jej wady są niczym przy zaletach, mądrości, pracowitości i życzliwości, a jej miłość... Nie śniłem nigdy, że będę tak kochany, że to w ogóle możliwe.

W końcu posmakowałem ciężkiej, fizycznej pracy. Kilka dni po inicjacji pomagałem kilku gospodarzom zwozić baloty z sianem z pól, a potem wrzucać do stajni i na strychy. Nigdy wcześniej nie zdobyłem się na taki wysiłek, te bele siana ważą lekko ponad stówę i samo turlanie jest ciężkie. Ale czułem się potem szczęśliwy.

W sierpniu przyszła kolej na żniwa i znowu widać było, jak nasze całe plemię jest z sobą zżyte i współpracuje. Nie sądziłem, że pomaganie innym daje tyle satysfakcji. Czuję się syty, spełniony. Moja własna praca nie daje takiej radochy, nawet kiedy jestem szczególnie zadowolony z jakiegoś projektu i klepany po plecach.

Emma pracuje równie ciężko i chętnie, do tego z uśmiechem na ustach. I to w niej jest wspaniałe. Jest zupełnie inna od kobiet, które znałem wcześniej. Moją byłą żonę i Emmę dzieli przepaść większa niż Wielki Kanion, są jak dwa przeciwstawne bieguny.

Byliśmy niedawno w Gdyni, u moich rodziców. Wcale nie chciałem tam jechać, ale Emmie bardzo zależało, powiedziała, że jeśli jesteście razem na poważnie, to tak trzeba. No i nie spodobała się moim rodzicom. Sam nie wiem, dlaczego. Mama sprawiała wrażenie, jakby jeszcze zanim ją poznała, już jej nie lubiła. Zadzwoniła do mnie i powiedziała, że odwiedziła ją Aneta i wypytywała o mnie. Powiedziała, że wciąż mnie kocha i może dałoby radę to jeszcze odkręcić, znowu być razem. Oblał mnie zimny pot i słabo mi się zrobiło. Szczególnie, że mama ją poparła.

Powiedziałem, że wolałbym szybciej zginąć tragicznie.

Jest już jesień. Idziemy na wzgórze naprzeciwko mojego domu, zobaczyć zachód słońca. Staramy się czerpać z resztek lata i spędzać jak najwięcej czasu na dworze. Zresztą, tu jest tak wspaniale, że nie chce się siedzieć w domu. Na przyszły rok planuję zbudować podobną wiatę, jak u wodza. Być może Emma będzie już ze mną mieszkać, jako moja żona, kto wie. Nie jest taka prędką. Chce mnie najpierw dobrze poznać. W sumie racja. Też nie powinienem się śpieszyć nauczony doświadczeniem. Na razie wystarcza mi jej miłość. To już i tak cały świat.

Kładzie głowę na moim ramieniu.

– Ale czad, co? – mówię.

– Nigdy mi się to nie znudzi.

Patrzymy w kierunku gigantycznej sceny letniej, na której trwa płonące widowisko słońca, a my błogo zmęczeni po kilku godzinach wykopków mamy najlepsze miejsca na widowni.

– Następnym razem zabierzemy rozkładane krzeselka i butelkę wina – mówię.

– Dobry pomysł.

Dostaję buziaka w policzek.

Słońce schodzi ze sceny, a my ze wzgórza. Idziemy powoli w kierunku domu wodza. Niechętnie się rozstajemy. Jeszcze poprzytulamy się chwilę, pocmokamy i uzbroimy w cierpliwość, do jutra.

Wchodzimy na asfalt, a do domu wodza zbliża się wolno jadący samochód.

– Taki sam jak moich rodziców – mówię.

Robi się już szaro, więc dopiero kiedy jest blisko rozpoznaję, że to oni.

– Co oni tu robią? - pytam siebie.

Najpierw otwierają się tylne drzwi i pojawia się Aneta. To jest tak

nieoczekiwane, że w pierwszej chwili mój mózg tego nie łapie.

– Szymon, kim jest ta kobieta?! – wydziera się Aneta.

Emma mnie puszcza i odsuwa się odrobinę. Nawet tego nie rejestruję. Staję się ciężki, jakby mi ktoś wrzucił na plecy wielki wór z gruzem.

Śpię, śni mi się to. To nieprawda.

Zamykam oczy, kręci mi się w głowie. Mam nadzieję, że kiedy je otworzę, nikogo nie będzie na drodze.

– Zapytałam o coś!

Nawet dobrze, że wrzasnęła, bo przytomnieję.

– Kochanie, przepraszam cię najmocniej. Załatwię to, dobranoc – mówię cicho do Emmy.

– Kochanie?!

Emma odchodzi bez słowa. Potwornie mi przykro. Nie zasłużyła nawet na cień takich emocji. Aneta odprowadza miłość mojego życia nienawistnym wzrokiem. Całe szczęście nie oblewa jej szambem z ust.

Z samochodu wysiadają rodzice. Nie wiem, jak wygląda moja twarz, ale chyba właśnie dotarło do nich, co narobili. Nic nie mówią.

Zadzieram głowę, widać już sporo gwiazd. Dziękuję w myślach za dwa miesiące spokoju ducha, piękna i prawdziwej miłości.

– Ogłuchłeś?!

Wzdycham ciężko. Krótki czas pokoju minął.

Póki śmierć nas nie rozłączy – zaczynam się śmiać i gotować do walki. – Taki już mój zakichany los.

– Uważasz, że to śmieszne? Co to za lafirynda, się pytam?!

– Jak śmiesz...

Muszę stanąć w obronie Emmy, ale przerywa mi głos wodza.

– Hołk!

Wódz wychodzi na ulicę. I nie jest sam.

– Szto?! Kto tu nas odwiedził i krzyczy?! – szaman mija

samochód rodziców. – Zaraz odczynimy i zaradzimy wszystkim paszkwilom.

Schodzi ze mnie powietrze. Brzmienie ich głosów i obecność działa jak gorące kakao na wyziębiony organizm.